

Długopole Górne (Wszystkie nasze związki)

Migawka

Leżę nagi na gołej ziemi. Moje rozgrzane ciało chłonie chłód podłoża i powoli stygnie. Czuję pod sobą wszystkie nierówności terenu, patyczki, drobne kamienie, grudki ziemi. Ale nie jest to przykre doznanie. Tak naprawdę czuję teraz szczególną więź z całą planetą, czuję, jak moje ciało i ziemia pode mną zlewają się w jeden organizm, czuję, jak między nami nie ma żadnej bariery, żadnego oddzielenia. Ta chwila jest prawdziwie święta: to prawie tak, jakbym leżał krzyżem przed samym Bogiem.

Podobno dawno temu rodzące się dzieci kładziono najpierw na gołej ziemi, a dopiero później dawano matce. Ten zabieg miał wyrażać naszą przynależność i oddanie Matce Ziemi, od której wszystko bierze swój początek i w której wszystko ma swój kres. Tak, czuję się jak nowonarodzone dziecko, które leży na ziemi. Nie ma żadnej przeszłości, żadnej przyszłości. Nie ma żadnych spraw, które noszę w umyśle, nie ma nic poza dosłowną obecnością w tej chwili. Moja nagość jest nie tylko fizyczna, ale też psychiczna i duchowa. Nic nie wiem, nic nie ma. Jest tylko to leżenie, to odczucie chłodu podłoża, to scalenie, które przynosi ze sobą niezwykle spokój, błogość oraz koncentrację na tym, co jest.

Powoli podnoszę się i staję na wyprostowanych nogach. Kręci mi się trochę w głowie, bo to prawie tak, jakbym stanął na nich pierwszy raz w życiu. Za chwilę po raz kolejny wejdę do szałasów potów, wejdę do wnętrza ziemi, do totalnej ciemności, do piekła niemalże, po to, by spotkać się ze sobą, by w tym szczególnym rytuale spojrzeć na siebie w całej prawdzie bez żadnych zasłon, bez uciekania przed tym, co jest. W środku niewielkiego szałasów stworzymy krąg – jest nas sześciu mężczyzn i wszyscy jak jeden mąż znaleźliśmy się tutaj, by oczyścić to, co wymaga oczyszczenia.

Do środka kręgu wędrują kamienie rozgrzane do czerwoności. „Witaj dziadku, czego chcesz nas nauczyć?” – mówi Czarny Łoś, prowadzący rytuał. Tak, te kamienie, te bardzo stare istoty, nasi dziadkowie, teraz są naszymi nauczycielami. Wyciągają z nas litry potu oraz skrywane emocje, niewypowiedziane tajemnice, które tutaj mogą zostać uwolnione i oczyszczone. Mistrz ceremonii polewa kamienie wodą i wtedy temperatura robi się tak wysoka, że trudno oddychać. Niektórzy z nas nie wytrzymują tego. Ale właśnie o to chodzi. Tam, gdzie nie można już nic zrobić, gdzie jest bezradność, pozbycie się kontroli i poddanie, tam dopiero proces oczyszczenia domyka się w pełni.

Po kolejnej rundzie wychodzimy ponownie z szałasów i kładziemy na ziemi. Raz jeszcze moje ciało rozplywa się w intymnym kontakcie. Ziemia chłodzi i redukuje moją świadomość do prostego bycia właśnie teraz, w tej chwili, w tym miejscu. Gdy podnoszę się po raz kolejny, całe moje ciało utkane jest z liści, patyków i ziemi. Spoglądam na siebie i pytam się: kim jestem? Zamiast odpowiedzi wchodzę jeszcze raz do szałasów po to, by moja świadomość dotarła do miejsca, gdzie nie ma już słów i znaczeń, gdzie moje bycie odarte jest z wszelkich przebrań, błyskotek, pozorów i kłamstw. Tam na dnie tego doświadczenia, w krańcowym wyczerpaniu i totalnej niemożności leży prawda, której nie ośmielam się wypowiedzieć.

Następnego dnia, gdy spotykamy się w kręgu, by dzielić się własnym doświadczeniem, każdy wchodząc do środka wypowiada formułę „wszystkie nasze związki”, a pozostali powtarzają za nim to samo zdanie. Tak, dopiero teraz powoli dociera do mnie to dziwaczne sformułowanie. Wszystkie moje związki, moje – tak zwanego wolnego człowieka, niezależnego i autonomicznego. Wszystkie moje związki: z bliskimi, z obcymi, z ziemią, ogniem, wodą i powietrzem, z niebem, z różnymi istotami, od których zależy moje kruche życie.

Wchodzę do kręgu i powtarzam z głębi serca: „wszystkie moje związki” – ja, niezależny i wolny człowiek zachodniej cywilizacji.

Ryszard Kulik